Nr. 43. We Lwowie dnia 28. października 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

„Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy...“

O, kraju mój! Słusznie poeta klął
Tych, co ci bluźniąc żałobą,
Podnosząc krzyk, gdyś życia chwilę wziął,
O szczęście w targ idą z tobą.

O, kraju mój! Jam także duszy pół
Na własne chowała troski...
Odpuść mi grzech! Gdy w pęta wróg mię skuł,
W skrusze hołd niosę synowski.

O, kraju mój! Zdala od twoich pól,
W więziennych murów jam cieśni...
Lecz dobrze wiem, że zbawczym jest twój ból,
Proroczą nuta twej pieśni.

O, kraju mój! Zdala od twoich niw
Jam ptak, co gniazdo mu zmiotą...
Lecz słyszę głos, co woła: »Naród żyw!
Serca mu świadczysz tęsknotą!«

O, kraju mój! Cały trosk własnych świat
I całą daję ci siebie —
Lecz z łanów twych choć jeden rzuć mi kwiat,
Gdy w obcej spocznę glebie!

O, kraju mój! W tę głuchą rzuć go dal,
Niech twoją wieści swobodę!
Za życia trud, tylu strat gorzki żal
Wspaniałą dasz mi nagrodę...

1 stycznia, 1895.

Kartki z współczesnego dziennika.

III.

Któż to jest pan Maurycy Zych i owe »tysiące ludu, których psychiczne organizmy, wyniszcza ta dziwna choroba« — choroba na moskali? — Nie trzeba się dziwić temu pytaniu: łatwa na nie zapewne odpowiedź: »My wszyscy cierpimy«, czy jednak prawdziwa? — Czy tak naprawdę pogrążamy się w »głuchej i niemej rozpaczy umysłów«, doprowadzającej do takiego biczowania się? czy my tak patrzym wszyscy »w dawno zmarłych żywe twarze« i czy naszej zrównoważonej, obywatelskiej, że tak powiem, boleści bywa tak ciasno pod czaszką — aż do rozsadzenia?

Z ręką na sercu odpowie każdy z nas: nie. Jedni przy tem może uczują skruchę i zawstydzenie, inni przeciwnie gotowi będą »rozkraczyć nogi i palnąć dziobem, jak kilofem«, w tak nierozważne pytania. — Ale nie o to chodzi. Dość, że szerokie mnóstwo ludzi żyjących regularnem, unormowanem życiem musi odpowiedzieć — nie. Z kogo się składają te »tysiące« o zagrożonych »psychicznych organizmach«?

W książce pana Zycha spotykamy się z całym szeregiem ludzi tego rodzaju. W obrazku pt. M o g i ł a jest nim osoba opowiadająca: »junkier 43 astrachańskiego pułku piechoty«, jeden z młodzieży warszawskiej, »dobrowolnie zapisujący się« do służby wojskowej, to znaczy odbywający ją jako ochotnik. Dalej spotykamy tu Jasia, Michała, Migdała, Knajpofilusa, Walerego itd., itd. — całą garść kolegów uniwersyteckich junkra astrachańskiego pułku. Jest tam również niejaka panna Jadwiga Zapaskiewiczówna, córka małego urzędniczka. Może to jeden z tej właśnie garstki — niejaki Janek, przezwiskiem All-de-Baran. Chodzi oto już piętnaście miesięcy po bezpłatnem mieszkaniu i przyjmuje od czasu do czasu wizyty pana, ubranego po cywilnemu, który mu stawia różne »dyskretne« pytania. - Janek All-de-Baran jest więźniem, żyjącym mocą ciągłego samopodniecania się ekstatycznego, zaś nieznajomy pan jest szpiclem, dodanym mu przez troskliwe władze... Dziwne rozmowy toczą Janek i inni z tej grupy. Temat tam rzadko bywa poruszany spokojnie i rozważnie — zawsze pełno tam dowcipów, zakrawających na cynizm, z cynizmów przysłaniających łkanie. Są to ludzie »nienormalnie« wrażliwi na ludzką niedolę — stąd ciągłe tajne między nimi zmowy na wytępienie jej źródeł. Ogromna też ich ilość zwiedza ciupę, pędząc tam mniej lub więcej znaczny okres życia. Tacy niewątpliwi »cierpią na moskali« w sposób ostry. W tej to widocznie kategorji ludzi żyjąc, dość »kilka lat nie wyjeżdżać z Warszawy i żyć jej życiem«, żeby się poznać z tym skirem okrutnym. To »życie Warszawy« znamienne jest tem zwłaszcza, że - zdaniem tak wrażliwych ludzi — »pokazuje nicość systematów myślenia, idei, ukochań, prac w pocie czoła, w zaparciu się siebie, w ohydzie i potwarzy, bohaterstw, cicho spełnianych, jak zbrodnie, poświęceń tajemniczych — uczy, że jeden jest tylko pewnik nieomylny, jeden cel i wynik wszystkiego: »p o ż a ł u j t i e w ż a n d a r m s k u j u!« Na mocy jakiegoż prawa przychodzi ten pewnik, na mocy jakiegoż prawa ginie brat ludziom, syn matce? Odpowiada na to autor: »Na mocy takiego prawa, że miał duszę tak czystą, jakby się narodziła z łzy Chrystusa, że był źdźbłem trawy leczniczej, stojącej na drodze pochodu barbarzyńców«...

Junkier astrachańskiego pułku, panna Jadwiga Zapaskiewiczówna, Janek All-de-Baran i jeszcze, i jeszcze inni tworzą tedy nieustającą zmowę słabych przeciw silnym. Junkier żyje wśród złodzieji, czukczów i czuwaszów, składających wojsko »niezwyciężonego cara« i uczy się na pamięć moskiewskich przepisów o tem, »kogo nazywany wewnętrznym wrogiem ojczyzny?« Przy tem od czasu do czasu patrzy na okropne upadki i bezwolne zdrady. Oto panna Zapaskiewiczówna, która książeczki ludziom wojskowym rozdawała, wychodzi za mąż za kapitana Izmaiłowa... All-de-Baran, po krótko improwizowanej walce, przemierza w bezsenne noce deski więziennej podłogi... A tam znowu kupka kolegów, współwierców na gwałt wydaje litografowany kurs ekonomji. — Na czwartakach toczą się zacięte spory o kosmopolityzm i o patrjotyzm, o parcelację i ideały drobno-mieszczańskie, czy o komunizm. — Sypią się z szumem, jak plewa w puste worki, frazesy i doktryny... I znowu gdzieś się zawiązuje »komitet«, znowu garść straceńców wydzwania jakieś hasło szczytne i idzie na bój. Później znowu rozlega się nieomylny pewnik: »pożałujtie w żandarmskuju!« W międzyaktach tej okropnej, długoletniej zmory ci młodzi ludzie i młode panienki trochę się kochają, trochę się bawią...

Czasem wychodząc z białego mazura, przetańczonego na podeszwach z bibuły, nie wie taki mocarz kędy głowę złoży?

Czasem znów zdarza mu się spotkanie z widmem, z upiorem t a m t y c h czasów. I następuje wymiana szyderstw, kryjących ból, po których znowu to samo życie. — Oto jedna kategorja »przerafinowanych« na pewien rodzaj bólu, cierpiących na g ł u c h ą i n i e m ą r o z p a c z u m y s ł ó w. Wspólnym rysem tej kategorji jest przedewszystkiem jej bujna intelektualistyczna kultura. Kiedy mówię bujna, nie chcę nic przesądzać o jej właściwej wartości. Chcę tylko zwrócić uwagę, że po małych i dużych miastach królestwa, wśród panien i młodzieży, istnieje liczna kategorja osobników, których jedynem niemal życiem jest papierowe życie. W tej to kategorji krążą broszury, pisma, traktaty — ona to chłonie wszelką teorję, wysilając mózg dla zasycenia

niepokojów serca, uśmierzenia katuszy nerwów »cierpiących na moskali«. I o ile wyszlachetnić, rozdelikacić może myśl ludzka, o tyle boleśniej, ostrzej cierpią ci, niż wszelka inna kategorja społeczeństwa...

W nowelach pana Zycha, spotykamy się wszakże z inną jeszcze kategorją. Dwa zwłaszcza ostatnie w tomie obrazki, uderzają niewymownem mistrzowstwem artyzmu zarówno, jak swoim tematem.

Pierwszy: P o g a n i n, maluje starego chłopa, którego zdybał autor na jednej z zamiejskich przechadzek... Chłop-pastuch uderzył go znajomym wyrazem twarzy. Długo nie chciał nic gadać podejrzliwy chłop.

— Coś ty mnie u s t y g u j e s z — mówił podejrzliwie — Moskalik ty może jaki, panulu, powiatowy może — a?

Aż wreszcie wybuchnął zwierzeniami — stary chłop z Pratulina:

— Pod serce ty mnie gryziesz, pod serce — mówił kołysząc głową — ot ja Sołtys, ot ja włościan, ot ja mądry gospodarz, piśmienny człowiek — gromadzkie bydło pasam, w gałganach chodzę, strawy ciepłej nie mam — ot jak. A żonka w stepach po prośbie chodzi, a na synki moje cudzy człowiek pluje — ot jak! Hej, Moskaliki wy, Moskaliki!«... Gdy mu autor począł mówić słowa pocieszenia — stary mu przerwał nagle:

— Miód u ciebie w uściech, jak u księdza. Służył ja Jemu wiernie, temu panu Jezusowi, a na cały naród chłopski — nie wejrzał, w rękę oprawców nas wydał! A służył ja Jemu wiernie: nie gębą — ot jak!

Gwałtownym ruchem rozerwał dziad tasiemkę koszuli i obnażył ciało poszarpane, w szwach, w szramach, w śladach ran ohydnych.

— Ja się Jego nie zapierał, na rotę-m wojska wyszedł z krzyżem i piersi odkrył. Ze mnie ciało kawałkami leciało pod batem — ja imienia Jego wzywał...

I mówił dziad dalej, bluźniąc, aż postępowy słuchacz cierpnął.

— Ej dziadu, dziadu!

Lecz dziad-poganin, nie słuchał już go:

— Idzi, panulu, a nie gadaj Moskaliskom nic, bo mię tu znowu t a r p a ć p r z y j d ą«...

Ten chłop-poganin, zrujnowany i zastygły w bólu, cierpi również »na Moskali«. Jemu również pozostał jeden pewnik nieomylny, strach przed tymi, którzy znów mogą go »tarpać«.

— Idzi, panulu, a nie gadaj Moskaliskom...

Ironja chce, że słowa te są zwrócone do człowieka, który się sam lada chwila spodziewa usłyszeć: »pożałujtie w żandarmskuju!«

Niepodobna mi dłużej czerpać z książki p. Zycha. ostatni obrazek: D o s w e g o b o g a jeszcze raz pokazuje nam tę drugą kategorję cierpiących, kategorję maluczkich. Lecz to, cośmy poznali wystarczy: nie wychylając się po za obręb przez autora zakreślony, poznaliśmy dwie na przeciwległych krańcach życia społecznego stojące grupy ludzi, obie w agonji cierpień. Rzeczywistość ukazałaby nam ich więcej, lecz to nie należy do rzeczy.

Rzecz, która nas tu obchodzi, da się streścić teraz w niewielu słowach: ta rdzenna jedność, ta ciągłość nastroju, która połączyła utwór nowożytnego artysty z grozą obrazów z przed lat trzydziestu — występuje ta znowu w matni cierpienia, w której się targa zarówno All-de-Baran, filozof studenckich poddaszy, jak chłop-poganin z nad Bugu.

Ostro, bez zaprawy szkolarskiej wysnute przez autora obrazy — ukazują nam perspektywę, w której naprawdę naraz oglądamy »tysiące ludzi, których organizm psychiczny ulega wyniszczeniu«... i to niezależnie od ich stanu kulturnego, materjalnego. Nie do nas należy pokazać j a k się to niszczenie, ta śmierć moralna odbywa: w cynizmie, maskującym idealizm, w doktryneryzmie zastępującym życie, w pesymizmie, w tysiącznych postaciach pleśni duchowej kryje się ów skir okrutny. Inaczej chorują dusze proste, inaczej t. z. inteligenci, coraz inaczej odbywa się przebieg zatrucia. Stosownie do zmienionych okoliczności. Od moskiewskiego typu nihilisty-pijaczyny, dra Wilkina z M o g i ł y — do nihilisty-chłopa, od obłąkańców przewrotu do obłąkańców ugody, od tych, którzy umierają z nienawiści — do takich, co umierają ze strachu — znaleść możemy w galerji tych chorych na Moskala tysiączne odcienia. Bogaty zbiór dla amatorów psychologji!

I nie można go z niczem bardziej przed społeczeństwem porównać, jak z klęskami przeszłości: tam klęska brała na się pozór krwawy, tu — szerzy się jak zaraza, czepiając się szlachetniejszych pędów społeczeństwa.

Jak się to odbywa? — Trzeba przeczytać książkę pana Zycha, w której się znajdzie parę pierwszych prób analizy prawdziwie mistrzowskiej. Nadewszystko zaś, uznawszy doniosłość tego artystycznego świadectwa faktów, które w politycznej ich formie znamy aż nadto, — trzeba wywołać w społeczeństwie odpowiedni prąd twórczy, lub współdziałać mu, jeśli już istnieje.

Antoni Potocki.



EGIPT.

WSTĘP DO POWIEŚCI.

(Dokończenie).

Te olbrzymie prace wymagały, obok wiadomości z astronomji, miernictwa, mechaniki i budownictwa, jeszcze — doskonałej organizacji. Czy to umocnienie grobli, czy oczyszczanie kanałów, musiało być robione i zrobione w pewnym czasie, na wielkiej przestrzeni. Ztąd powstała konieczność utworzenia armji robotniczej, liczącej dziesiątki tysięcy głów, działającej w oznaczonym celu i pod jednym kierunkiem; armji, która musiała mieć mnóstwo małych i wielkich dowódców, mnóstwo oddziałów, wykonywujących rozmaite prace, skierowane do jednolitego rezultatu; armji, która potrzebowała wiele żywności, środków i sił pomocniczych.

Egipt zdobył się na taką armję pracowników i jej zawdzięcza swoje wiekopomne dzieła. Zdaje się, że stworzyli ją, a następnie kreślili jej plany — kapłani, czyli mędrcy egipscy, rozkazywali zaś królowie czyli faraonowie. Skutkiem tego naród egipski w czasach wielkości tworzył jakby jedną osobę, w której stan kapłański odgrywał rolę myśli, faraon był wolą, lud — ciałem, a posłuszeństwo — cementem.

Tym sposobem sama przyroda Egiptu, domagająca się wielkiej, ciągłej i porządnej roboty, stworzyła szkielet społecznej organizacji tego kraju: lud pracował, faraon kierował, kapłani układali plany. I dopóki te trzy czynniki dążyły zgodnie do celów, wskazanych przez naturę, póty społeczność mogła kwitnąć i dokonywać swoich dzieł wiecznotrwałych.

Łagodny i wesoły, a bynajmniej nie wojowniczy lud egipski dzielił się na dwie klasy: rolników i rzemieślników. Między rolnikami musieli być jacyś właściciele drobnych kawałków gruntu, przeważnie jednak byli dzierżawcy ziem, należących do faraona, kapłanów i arystokracji. Rzemieślnicy, wyrabiający odzież, sprzęty, naczynia i narzędzia, byli samodzielnymi; pracujący zaś przy wielkich budowlach, tworzyli jakby armję.

Każda z tych specjalności, a głównie budownictwo, wymagała sił pociągowych i motorów; ktoś musiał czerpać po całych dniach wodę z kanałów, lub przenosić kamienie z kopalń tam, gdzie były potrzebne. Te najcięższe mechaniczne zajęcia, a przedewszystkiem prace w kamieniołomach, wykonywali przestępcy, skazani przez sądy, lub schwytani na wojnie niewolnicy.

Rodowici egipcjanie mieli barwę skóry miedzianą, czem chełpili się, gardząc jednocześnie czarnymi etjopami, żółtymi semitami i białymi europejczykami. Ten kolor skóry, pozwalający odróżnić swojego od obcego, przyczynił się do utrzymania narodowej jedności silniej, aniżeli religja, którą można przyjąć, albo język, którego można się wyuczyć.

Z biegiem czasu jednak, kiedy państwowy gmach zaczął pękać, do kraju coraz liczniej napływały obce pierwiastki. Osłabiały one spójność, rozsadzały społeczeństwo, a nareszcie zalały i rozpuściły w sobie pierwotnych mieszkańców kraju.

Faraon rządził państwem przy pomocy armji stałej i milicji, czy policji, tudzież mnóstwa urzędników, z których powoli utworzyła się arystokracja rodowa. Tytularnie był on prawodawcą, naczelnym wodzem, najbogatszym właścicielem, najwyższym sędzią, kapłanem, a nawet synem bożym i bogiem. Cześć boską odbierał nietylko od ludu i urzędników, ale niekiedy sam sobie stawiał ołtarze i przed swemi własnemi wizerunkami palił kadzidła.

Obok faraonów, a bardzo często po nad nimi stali kapłani; był to zakon mędrców, kierujący losami kraju.

Dziś prawie nie można wyobrazić sobie nadzwyczajnej roli, jaką stan kapłański odgrywał w Egipcie. Byli oni nauczycielami młodych pokoleń, wróżbitami, a więc doradcami ludzi dorosłych, sędziami zmarłych, którym ich wola i wiedza gwarantowała nieśmiertelność. Nietylko spełniali drobiazgowe obrządki religijne przy bogach i faraonach, ale jeszcze leczyli chorych, jako lekarze, wpływali na bieg robót publicznych, jako inżynjerowie, tudzież na politykę, jako astrologowie, a nadewszystko znawcy własnego kraju i jego sąsiadów.

W historji Egiptu pierwszorzędne znaczenie mają stosunki, jakie istniały między stanem kapłańskim, a faraonami. Najczęściej faraon składał bogom hojne ofiary i wznosił świątynie. Wówczas żył długo, a jego imię i wizerunki, ryte na pomnikach, przechodziły od pokolenia do pokolenia, pełne chwały. Wielu jednak faraonów panowało krótko, a niektórych znikały nietylko czyny, ale nawet nazwiska. Parę razy zaś trafiło się, że upadała dynastja. a *klaff*, czapkę faraonów, otoczoną wężem, przywdziewał — kapłan.

Egipt rozwijał się, dopóki jednolity naród, energiczni królowie i mądrzy kapłani współdziałali sobie dla pomyślności ogółu. Lecz nadeszła epoka, że lud skutkiem wojen zmniejszył się liczebnie, w ucisku i zdzierstwie utracił siły, napływ zaś obcych przybyszów podkopał rasową jedność. A gdy jeszcze w powodzi azjatyckiego zbytku utonęła energja faraonów i mądrość kapłanów, i dwie te potęgi rozpoczęły między sobą walkę o monopol obdzierania ludu, wówczas Egipt dostał się pod władzę cudzoziemców, i światło cywilizacji, przez kilka tysięcy lat płonące nad Nilem — zagasło.

Bolesław Prus.

KRYZYS.

(Studjum z natury).

(Ciąg dalszy.)

W »Tygodniku Ilustrowanym« czy w »Wędrowcu« natrafił na reprodukcję symbolicznego obrazu Toropa pt. Trzy oblubienice. Trzy nagie kobiety histerycznie wykrzywione i szpetne wykwitały z pośród jakichś zielsk, wężów, oczów ludzkich i t. d.

Tymczasem Pazikowski obszedł dokoła czytelnię, powtarzając stereotypowe: »Co słychać?« i znowu stanął przy Kalinowskim. Kalinowski z rozpaczą wetknął głowę w »Tygodnik«.

— A — obraz Toropa — rzekł po nad nim Pazikowski — potężna koncepcja! Jak się panu podoba ten pomysł męki Chrystusowej w tem otoczeniu?

Kalinowski odmruknął coś, nie podnosząc głowy... Adwokat zresztą zabierał się do wyjścia. Za drzwiami, już na chodniku znowu stanął w niepewności, którędy ma się udać. Kalinowski gotów był założyć się, że Pazikowski zadaje sobie znane brukowe pytanie.

— Co zrobić z resztą wieczoru?

I że pytanie to zada sobie raz jeszcze, wychodząc o godzinie 12 ej od Victora... Pazikowski poszedł wreszcie niezdecydowanym krokiem w kierunku Krakowskiego Przedmieścia...

Kalinowski chwilę jeszcze posiedział w niewyraźnej nadziei zobaczenia się z Gruszczyńskim... Jakiś niesmak i zniechęcenie opanowywały go coraz natarczywiej. Bębnił palcami po stole dla zagłuszenia jakichś pytań, jakichś oderwanych i syczących słów, które podnosiły się nakształt przypływu. Bez żadnego najwyraźniej powodu czuł się znerwowanym.

— Histerja! — szepnął przez zaciśnięte zęby. I jednocześnie rozumiał, że tym pogardliwym wyrazem nie zbędzie się rozstroju, nie zagłuszy siebie. Po raz pierwszy od tygodnia pomyślał o powrocie i nagle poczuł, że czerwieni się aż do osady włosów.

— List mechanika!

List, który tak solennie przyrzekał doręczyć natychmiast — czy go przynajmniej nie zgubił? Gorączkowo wydobył z bocznej kieszeni wszystkie papiery: wśród biletów teatralnych, adresów krawieckich i kart wizytowych odnalazł wreszcie połamaną kopertę z adresem »Jan Przybylski, Solec 6.«

— Świństwo się stało — pomyślał, ochłonąwszy ze wstydu. Nie próbował nawet tłumaczyć się przed sobą zajęciami. Czuł po prostu wstyd, że znalazł czas na załatwienie sprawunków pani dyrektorowej, a o tym liście zapomniał. Mechanik prosił gorąco o natychmiastowe załatwienie interesu! — zresztą wiedział, że list zawierał w sobie jakieś wiadomości konspiracyjne i mechanik miał minę zafrasowaną.

— Świństwo, świństwo! — szeptał Kalinowski, zmierzając spiesznym krokiem w kierunku Książęcej. Powoli przychodziły refleksje.

— Ostatecznie ich konspiracje nie są prawd podobnie zbyt groźne — myślał — także sobie bawienie się w porozumiewanie się, w radykalne zebrania. Dziury w niebie nie będzie, że się list o parę dni spóźni.

Właściwie była to zwłoka nie paru, ale dziesięciu dni. Refleksje nie zdołały go uspokoić. Przez kręte uliczki, błądząc trochę na dole, dotarł wreszcie Kalinowski na Solec. Na ulicy już było dość pusto. Gdzie niegdzie tylko w narożnych szynkowniach gwarnie się raczyły kompanje z Powiśla. Na prawo ciągnęły się długie mury zabudowań wielkiej fabryki. Przy brzasku rzadkich latarni mijał Kalinowski wielopiętrowe kamienice, równie obszarpane i ponure, jak sześć ceglanych bud kolonji »Maciej«. Mieściła się w nich również ludność robocza, zatrudniona w okolicznych fabrykach i na przystani.

Stanął wreszcie przed numerem szóstym: coś jakby nagły strach ogarnął go przed tą ciemną, brudną bramą, w głębi której kopciła latarnia przed mieszkaniem stróża. Miał już wejść, kiedy głos z ciemnego kąta bramy zawołał:

— A do kogo to?

Kalinowski drgnął

— A, to stróż. Chciałem się widzieć z panem Przybylskim. Którędy się idzie?

Stróż zbliżył się do Kalinowskiego, pilnie mu się przyglądając.

— Niema tu pana Przybylskiego! — ofuknął.

— Masz tobie! — wyrwało się Kalinowskiemu. — A kiedy wróci?

Stróż jeszcze raz obejrzał gościa od stóp do głowy i przysunął się bliżej.

— Niech-no pan zmyka, bo tu szpicel jest na rogu. Wzięli pana Przybylskiego w nocy z wtorku na środę... Dwa dni tu czekali w mieszkaniu, a teraz szpicel ciągle tu zagląda. — Niech pan idzie.

Coś jakby czkawkę, jakby dygotanie strun głosowych, uczuł nagle Kalinowski w gardle. Bez szelestu zawrócił się na piętach i odszedł. Stróż znowu zabił się w swój ciemny kąt. Kalinowski przyśpieszył kroku i po chwili znalazł się w jedynej dorożce, samotnie stojącej na rogu. Jednocześnie prawie otwarły się drzwi narożnego szyneczku i wyszedł z nich jegomość jakiś.

— Szpicel — pomyślał Kalinowski i krzyknął dorożkarzowi: — Aleje Ujazdowskie...

W drodze ochłonął Kalinowski z pierwszego wrażenia, ale się nie czuł bezpiecznym. — Dorożkarz pewnie wróci — myślał — trzeba zmylić pogoń! — Nikt go zresztą nie gnał. Na pustych ulicach nikt się prawie nie ruszał. To go znacznie uspokoiło. Na rogu Aleji i placu św. Aleksandra, Kalinowski wysiadł z dorożki i pośpieszył zmięszać się z tłumem. Teraz szedł, robiąc zygzaki, przechodząc z jednej strony ulicy na drugą. Wreszcie zmęczony wpadł do Doliny szwajcarskiej, pozyskawszy nareszcie pewność, że nikt go nie śledzi. Ale równocześnie z uspokojeniem się pierwszych odruchów strachu o siebie, rozpoczął się męczący bieg myśli, jedna od drugiej posępniejszych. Kalinowski przeszedł przez oświetloną rzęsiście salę, minął obojętnie orkiestrę, grającą ulubioną jego *Mors et vida* Gounod'a i usiadł w głębi ogrodu, na pustej ławce.

— Co tu robić, co robić? — szeptał. — Może być bardzo, że list zawierał jakieś ostrzeżenie, że gdyby wczas go doręczył, to wszystko byłoby dobrze? W oczach mu stała brudna, odrapana kamienica na Solcu, skąd wzięto Przybylskiego »w nocy z wtorku na środę«. Może należałoby rozpieczętować list — myślał. — Ale teraz cóż to pomoże? Wyjął nawet nieszczęsną kopertę z kieszeni i raz jeszcze dokładnie odczytał adres: »Jan Przybylski. Solec 6«. Teraz ten adres wydał mu się urągowiskiem: przekreślono go »z wtorku na środę«. Adresat nagle przeniósł się do kategorji »nieobecnych«... Kalinowski zacisnął zęby... I kto wie, czy niebezpieczeństwo nie grozi tam im, na kopalni? Może należałoby dać znać zaraz — ale w takim razie trzebaby jechać natychmiast. Kalinowski wstał bez namysłu i wyszedł z zamiarem jechania na kolej. Dopiero w dorożce spostrzegł, że ostatni pociąg już odszedł, a następny odchodzi dopiero jutro rano. — Wszystko mu się rwało w rękach: napróżno sobie łamał głowę nad wyjściem, napróżno przypominał sobie nazwiska dawnych kolegów, którzy słynęli jako »społecznicy«. Jednych stracił z oczu oddawna, inni również należeli do »nieobecnych«. Wreszcie była godzina zbyt późna na poszukiwania. Jedno tylko czuł wyraźnie: że popełnił niesumienność, której skutków sam nie mógł obrachować. I nagle uczuł poraz drugi w ciągu wieczora coś jakby czkawkę w gardle, jakby dygotanie strun głosowych wraz z uczuciem niewymownej goryczy — w ustach, czy może w sercu...

V.

Nazajutrz rano budził się Kalinowski, jak ktoś cierpiący na ból zębów: jeszcze w półsennem rozmarzeniu zaczęło mu coś niewyraźnie dolegać. Doleganie stawało się coraz wyraźniejszem i nagle Kalinowski siadł na łóżku, wytrzeźwiony w tej chwili.

— Co tu robić?

Cała przygoda wczorajsza stanęła mu przed oczyma. W świetle porannem rzecz przedstawiała się nie tak może beznadziejnie, ale za to dużo wstrętniej. Jedyna rada była, jechać do Bolka i dowiedzieć się coś o znajomych owego Przybylskiego. Niepodobna, żeby Bolek nic nie wiedział o dawnych kolegach, którzy należeli do »ruchu«. W razie zaś gdyby to się nie udało — trzeba wracać i uprzedzić mechanika. Do odejścia pociągu zostawało kilka godzin czasu i Kalinowski na wszelki wypadek uregulował rachunek hotelowy i zaczął porządkować rzeczy. Na dnie walizki znalazł rękopis sztygara, który obiecał ulokować w fachowem piśmie.

— Cóż z tem robić?

Oddać Gruszczyńskiemu do załatwienia? Na samą myśl obarczania muzyka, Kalinowski wzruszył ramionami: Gruszczyński swoich własnych utworów nie umiał utrzymać w chaosie papierów, zalegających pokój. Wszystkie »cykle« niedokończonych szkiców tonęły w nawalnicy rupieci...

Wreszcie, przeglądając notatnik natrafił, Kalinowski na jeszcze jedną niewykreśloną pozycję — były to również komisy kolegów.

»Dowiedzieć się o ustawie związku cyklistów« — był to komis kilku młodszych kolegów z biura.

»20 elementarzy Promyka i kilka książeczek popularnych«.

To znowu była prośba córki kasjera, która prowadziła domową szkółkę pokryjomu...

Na końcu tego spisu była jeszcze pozycja: »teatr amatorski«. O tem znów mówił z Kalinowskim mechanik. Teatr mieli urządzać miejscowi rzemieślnicy i chodziło o wybranie kilku łatwych sztuczek...

Wszystko to wraz z nieszczęsnym listem Kalinowski odkładał z dnia na dzień, wmawiając w siebie, że jest niezmiernie zajęty. Teraz po prostu w głowie mu się nie mieściło, jak mógł o tem zapominać.

— Czem ja u djabła byłem zajęty? — myślał — latałem, jak kot z pęcherzem, oglądać obrazki i ugadywać się z dekadentem, albo z Pazikowskim!

O godzinie dziewiątej, kiedy uporządkował rzeczy i zabierał się wyjść do Bolka, zapukano do drzwi.

— Proszę wejść — rzekł Kalinowski — pewnie Gruszczyński!

Do pokoju wszedł młody człowiek o ruchach jakby wahających się.

— Czy mam przyjemność mówić z panem Kalinowskim? zapytał młody człowiek.

— Tak jest.

Młody człowiek przystąpił bliżej.

— Z kopalni »Maciej«?

— Tak jest — powtórzył zdziwiony Kalinowski. — Czem mogę służyć. Zachowanie się młodego człowieka, który się zdawał być dziwnie zażenowanym, nie podobało się Kalinowskiemu: przez myśl przemknął mu szpicel wczorajszy.

Młody człowiek również obejrzał się po pokoju, jakby chcąc się o czemś upewnić. Wreszcie wydobył jakiś list.

— Jestem Anielewski, chemik Anielewski.

Anielewski — pomyślał Kalinowski — coś mu się jakby przypominało. Chemik ciągnął dalej:

— Przychodzę tu w sprawie pana Szwarca.

Kalinowski coraz bardziej utrwalał się w podejrzeniu.

— Daruje pan — rzekł cierpko — ale nie mam przyjemności znać ani pana Szwarca, ani pana.

Młody człowiek zmięszał się.

— Jakto? Pana Szwarca, mechanika z kopalni »Maciej«?

(Dok. nast.). *Jerzy Grot.*

PIEŚNIARZ.

Obrazek z dziejów młodej Grecji.

Przez

Michała Wołowskiego.

(Dokończenie).

Duszno jej na tych edredonach, kobiercach perskich i wśród tych ścian, obwieszonych świętościami.

Zrywa się z łoża, otwiera szeroko okna komnaty, piersi jej falują szybkim oddechem, wpatruje się w księżyc, lecz i przed nim nawet spuszcza oczy ku ziemi, szepcząc:

— I ten na mnie patrzy z pogardą! Tak, niema w mej duszy spokoju; sprzedali mnie, kazali poświęcić się napróżno dla tych świętych obrazków, dla tej ich wiary, zmarnowali mi życie, a wszystko to nadarmo!

I ugięły się pod nią kolana, bezsilnie prawie osunęła się na ziemię i poczęła czytać modlitwę. Nagle, przez tylko co otwarte okno wsunęła się do komnaty postać czarna tak cicho jak wąż, prześlizgujący się wśród trawy.

— Boże, zlituj się nademną, zlituj się nad nim, daj mu niebo! mówiła przed obrazem Emina.

— Wiecznie to samo, szepnął cień, stając za modlącą się kobietą.

— Nie mogłeś mu, Panie, dać szczęścia na ziemi, daj mu je, Panie, w niebiosach, — prosiła dalej Emina. Cień chwycił ją za ramię i krzyknął:

— Bądź raz kobietą Grecji, pomyśl, że on tam w lochu czeka na straszną kaźń swoją, że pracował życie całe dla nas wszystkich; opłać ohydny czyn twój sprzedania się wrogom twojego kraju jedynem, prawdziwem poświęceniem!

— Roksanda! szepnęła żona Alego, z przestrachem wpatrując się w twarz tej, która tak do niej przemawiała.

— Tak, ja! ja co cię nienawidziłam, bom kochała jego, przychodzę ci powiedzieć, że w twoich rękach jest jego wolność.

— Mów, wszystko uczynię!

Roksanda wyjęła sztylet z za pasa i podając go Eminie, zawołała:

— Pomścij krew tylu mężów Grecji; weź to żelazo w dłonie, a kiedy ten, co z krwi naszej żyje, przyjdzie objąć się w swoje ramiona, utop je w sercu nikczemnika. Gdy im zabraknie głowy, Kleftowie napadną więzienie, Kostaki będzie wolny.

Ale Emina nie przyjęła sztyletu z rąk Roksandy; drżała na całem ciele, odsunęła się krokiem od mówiącej i rzekła:

— Nie, Roksando, ja tego nie uczynię. Ali jest ojcem mojego dziecięcia.

— Tyś jest córką Grecji.

— A Bóg?

Dziki śmiech był odpowiedzią na to słowo.

— Pewno chcesz skazanemu na śmierć dać w ofierze modlitwę; o! słuchaj, jesteś podłą po dwakroć. Mogłaś go uratować kosztem życia tej żmiji. która tyle nieszczęść nam przyniosła, nie chcesz; pragniesz żyć tak nikczemnie, jak żyłaś; pragniesz tak umrzeć. Słuchaj, fanarjocki wężu; cała moc baszów nie osłoni mogiły twojej od śliny wzgardy każdego Greka. Namyśl się, weź sztylet!

— Nie!

Oczy Roksandy zaiskrzyły się i ciskały płomienie gniewu, niepokój malował się we wszystkich jej rysach. Ona liczyła na pomoc Eminy. Dopóki Ali żyje. całe gniazdo jego siepaczy pilnować będzie jej ukochanego. Klefty i Armatole nic nie poradzą.

— Bądź przeklętą! krzyknęła Roksanda. Niech będzie przeklęte dziecię twoje! Zgiń w zapomnieniu i pogardzie, niech ci przy zgonie zabraknie tego, w co cię nauczono wierzyć — Boga! Dziecię twoje niechaj...

— Stój! zawołała Emina, wstrzymując ręką podniesioną w górę dłoń Roksandy, nie przeklinaj dziecka mego!

— Przeklinam i...

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

— Ach, więc ja jedna pozostałam jemu i albo go uwolnię, albo z nim zginę.

I Roksanda zniknęła w oknie.

Po jej wyjściu pukanie do drzwi powtórzyło się znowu, w końcu otworzył je i wsunął się do komnaty Stataki.

Na podłodze leżała zemdlona Emina.

— Córko moja, co tobie? zawołał przerażony fanarjota.

Emina otworzyła oczy, oglądając się trwożliwie.

— Jej już tu niema? szepnęła.

— Kogo? spytał Stataki.

— Słuchaj, ojcze! zawołała gwałtowniej, — on dziś zginie na palu, prawda?!

— Kostaki? Tak, moje dziecko.

— Nie daj mu umrzeć bez religijnej pociechy, poślij mu po księdza, mój ojcze.

Stataki się przeżegnał, wzniósł oczy w górę i szepnął:

— Muszę się spieszyć, za dwie godziny wyrok wykonany zostanie.

Roksanda, jak szalona, leciała w góry. Wbiegła na szczyty Peljonu, gdzie stary Grygory z Kleftami się naradzał, namawiała wszystkich, prosiła, błagała, by ująwszy jatagany w rękę na Janinę poszli, ale ziarno Kostakiego nie dojrzało jeszcze. Janina była silną twierdzą, zawiele ryzykowaćby musieli.

— Pójdziemy na jego pogrzeb, — szeptali tylko smutnie.

Roksanda nie mówiła już nic, jakby skamieniała, tylko zrywała kwiatki ze szczelin górskich i wiła z nich wieniec.

Kostaki był znakomitą zdobyczą dla Alego. Pamiętał on dobrze rozmowę, jaką miał niegdyś, przy początkach zawodu swojego z pieśniarzem. Można się więc było spodziewać, że kaźń jego dopełniona zostanie z wyszukanem okrucieństwem. Tłumy ludu zamykają wielki czworobok twierdzy Janiny, masa w nim twarzy ogorzałych, oliwkowej cery, w których Ali odgaduje twarze Kleftów, ale i masa też janczarów i spahów, trzymających w pogotowiu karabiny i miecze.

Na środku kwadratu stoi pal ostro zakończony; koniec jego ostrza, ku któremu zwracają się oczy wszystkich oliwkowych twarzy, odbija promieniem jasnego słońca.

— Już idzie! przeleciał szmer wśród tłumu.

Otworzyły się bramy celi więziennej, a z niej wyszedł spokojny i zawsze blady Kostaki.

Z jednej strony przystąpił do niego fanarjocki kapłan, z drugiej cisnęła się ku niemu Roksanda. Kapłana dopuszczono, Rosanda daremnie usiłowała przecisnąć się wśród spahów. A gdy ujrzała swój trud bezowocnym, rzuciła do stóp skazanego wieniec, uwity na szczytach Peljonu i Agrafy.

Kostaki schylił się, wieniec podniósł i do ust go przycisnął.

— Synu, oto przed tobą otwiera się niebo, szeptał fanarjocki kapłan, postępując obok Kostakiego. Kostaki żywo się ku niemu odwrócił i zapytał:

— Co? ruszyli się Klefty? Grecja będzie wolną?

— Powtarzaj, synu, za mną słowa modlitwy. »Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się Imię Twoje...«

— I daj Grecji swobodę!

— »Przyjdź, królestwo twoje...«

— O przyjdź swobodo Grecji!

— »Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...«

— Ale niechże ona będzie łaską dla ludów moich.

— »Chleba powszedniego daj nam dzisiaj...«

Tutaj Kostaki już nic nie rzekł; on o co innego Boga chciał prosić, nie o chleb powszedni.

— »I odpuść nam nasze winy...«

Kostaki uderzył się w piersi.

— »Jako i my odpuszczamy...«

— Nie, ja nie odpuszczam grzechów wrogom Grecji.

— »Ale nas zbaw odezłego. Amen.

— Zbaw ich, Panie, zbaw, powtórzył Kostaki.

I dochodząc prawie do pala, przyciskał do ust każdy listek wieńca, uwitego z kwiatów gór jego ukochanych.

Kapłan fanarjocki szeptał modlitwy, żegnał się, oczy w niebo wznosił, a Kostaki powtarzał modlitwę swoją, która mówiła tylko o Grecji i wciąż pieścił się ze swojemi kwiatkami.

Schwycili go siepacze, ostre żelazo poczęło się wbijać w jego ciało; on nie zbladł więcej, nie syknął z bólu, a tylko wciąż swoje kwiatki całował. Woń ich, zda się, upajała go i rozkoszniejszą mu była widocznie, niż dolęgliwemi męczarnie.

Przez całe trzy dni jego męki przychodzili go oglądać Kleftowie, a pilnowali spahy.

Gdy oczy zachodziły mu bielmem śmierci, spahowie i Klefty odwracali się od człowieka, który na palu był strasznym.

Była tylko jedna istota, która tej bladej twarzy nie spuściła ani na chwilę z oczu.

Nie trudno się domyśleć: była nią Roksanda.

Gdy ulatywało ostatnie tchnienie pieśniarza odradzającej się Grecji, rozległ się strzał. Odwrócili się spahowie i Klefty; u stóp pala spoczywało nieżywe ciało Roksandy.

Emina — modliła się przez cały czas męczarni.

Ali — szykował się do nowych, strasznych zbrodni.

Kleftowie szeptali głośno imiona nowych bohaterów Grecji i ściskali silniej rękojeście jataganów. Kostaki Rygas skonał na palu wprawdzie, ale żyje w wiecznej pamięci swojego ludu.

W takich grobach, jak pamięć i serce, żyje się wiecznie.

PRO MEMORIA.

2. listopada 1848. Zbombardowano Lwów na rozkaz Hammersteina.

4. listopada 1794. Wojska Suworowa i Fersena zdobyły Pragę. W strasznej rzezi, która była tego następstwem, zginęło, 25 tysięcy ludu i wojska. Praga spłonęła, jak olbrzymi stos ofiarny. Krwią ściemniały się wody Wisły, która wezbrała, powstrzymana w swym biegu tamą z trupów.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.